



Stefania Kozłowska

## Czas grozy

Miałam sześć lat, gdy pierwsze samoloty z czarnymi krzyżami nadleciały nad Polskę. Był piękny, słoneczny, wrześniey dzień, gdy huk motorów przeorał czyste niebo. Dla nas dzieci było to zadziwiające widowisko: setki samolotów lecących od czechosłowackiej granicy na północny wschód. Leciąły na Warszawę. „Wojna!” – krzyczeli sąsiedzi. Rodzice moi płakali. Czym jednak jest słowo wojna dla wesołego i wolnego dziecka? Dopiero później, gdy poznaje się skutki tego strasznego słowa i odczuwa się strach na własnej skórze, a głód zagląda do domu i do żołądka dziecko zrozumie wojnę.

Po paru dniach rozpoczął się okropny rozgardiasz i ruch ludności i wojska. Niektórzy pakowali tobołki, zabierali rodziny i szli w nieznaną, w świat na poniewierkę i tułaczkę, by już może nigdy nie powrócić w rodzinne strony. Po panice drogi były zawałone uciekającymi i taborami wojska. Żołnierze zakurzeni, zmęczeni, wyczerpani wielokilometrowym marszem wciąż szli i szli. Szli na wschód, ale wtedy jeszcze nie wiedzieli, że tam też nie znajdą ucieczki, lecz zasadzkę.

Moja matka ze mną i naszą sąsiadką panią Bortel wyniosły na pobocze ulicy wiadra z wodą do picia i pełną wannę dojrzałych śliwek. Rozdawałyśmy to wśród podchodzących w marszu żołnierzy. Wodę nabierali do menażek lub hełmów, łapczywie ją pijąc. Matka wsypywała im dorodne śliwki do toreb, w kieszenie lub w ręce. Sąsiadka kroїła resztki chleba, jakie udało się zebrać. Żołnierze poszli dalej obdzieleni tymi skromnymi prezentami. Nie śpiewali jednak „wojenko, wojenka, cożeś ty za pani...”. Poszli w milczeniu.

## Pazur wroga

Ciężkie było moje dzieciństwo. Miasto Skoczów, w którym w tym czasie mieszkaliśmy, zostało zalane przez wroga, a jego pazur sięgał wszędzie. Rozpoczęły się wywózki, rozstrzelania i wieszanie niewygodnych patriotów i inteligencji. Niemcy dokonali także likwidacji domu starców i nieuleczalnie chorych dzieci z sierocińca. Zaczęto rozwalać nasze pomniki zdobiące miasto, niszczyć kulturę narodową. Doskonale pamiętam jeden z takich dni, gdy hitlerowcy ustawili rusztowanie na kościele parafialnym św. Piotra i Pawła i przy krzykach, śmiechach i klątwach spuszczały z wieży nasze piękne dzwony. Ludzie ukradkiem ocierali łzy, bo oto dorobek i własność naszego miasta, naszej parafii, zostaną przetopione przeciwko nam. Od tego dnia cisza i smutek jeszcze bardziej zaległy miasto. Już piękne brzmienie dzwonów nie mogło wzywać wiernych na msze święte – umilkły na długie lata wojny.

W ludność miasta prócz smutku i przygnębienia wstąpił bunt. Uciekali do partyzantki i do ruchu oporu, który na naszych terenach ziemi cieszyńskiej dał się Niemcom dobrze we znaki w czasie wojny. Hitlerowcy masowo wywozili ludzi na roboty w głąb Niemiec. Ale nie tylko. Sły także transporty do obozów śmierci. Niektórych, uważających się za Ślązaków cieszyńskich, wcielano nawet przymusowo do armii niemieckiej. Wśród ludności miasta coraz więcej osób nosiło żałobę i zapuchnięte oczy, po stracie najbliższych, którzy już nigdy nie wrócą. I tylko ta brzoza, co tam w polu stała, wietrzykiem trącana będzie im szumiała...

Wróg wprowadził racjonowanie żywności na kartki i swój butny reżim. Ale żeby coś kupić na kartki także trzeba było stać w kolejce. Teraz nie tylko strach, ale i głód zaczął gościć w naszym domu. Mieszkańcy coraz bardziej drżeli o swoje życie. Niemcy zaczęli totalną czystkę. Do obozów sły transporty Żydów, Cyganów, niewygodnych Polaków – takich jak nauczycieli, lekarzy itp. Codziennie nadchodziły kolejne okrutne wieści. I choć nikt o tym głośno nie mógł mówić, ludzie wiedzieli dokąd ich wywożono. Z niektórymi okupanci rozprawili się, rozstrzelując w pobliskim lesie Dolny Bór.

## Lata okupacyjnej nocy

Miasto doznało kilku bombardowań. Ofiar było coraz więcej. Zbliżały się Święta Wielkanocne. Nocą tuż przed świętami był nalot i bombardowanie. Kiedy rano poszłam z moim o rok młodszym bratem do kościoła, rynek miasta wyglądał jakby spadł śnieg. Pióra z rozdartych przez bomby pierzyn rozsypały się, jak ostatnie wspomnienia po tych, którzy jeszcze parę godzin temu byli nimi nakryci.

Jeden z narożnych budynków został zbombardowany do samych piwnic. Teraz sterczały tutaj kawałki muru otoczone rumowiskiem. Sprzęty, odzież i inne rzeczy leżały na ulicy i wokół gruzów. Weszłam na resztki schodów, które prowadziły do piwnicy ciągnąc za sobą brata. Nad nami wisiały części stropów i ścian. Zaglądaliśmy do leja, w którym niedawno jeszcze była piwnica, a w niej kilka ukrywających się przed nalotem rodzin. Teraz oczom naszym przedstawił się makabryczny widok rozerwanych na strzępy ludzi. Obok torsu ojca leżały całe rączki, a przy kobiecie bez głowy ciało dziewczynki. Głowa matki leżała dalej – na schodach. Wszędzie kawałki ubrań zbroczonych krwią i resztkami rozerwanych ciał. Wtedy w tej piwnicy zginęła moja koleżanka z klasy. Widok był okropny (przysłoniłam ręką oczy mojego braciszka, ale on odciągnął ją i wybiegliśmy na zewnątrz;). Oboje nas zemdlilo. Zaczęliśmy biec do kościoła. Z tamtej mszy jednak nie pamiętam nic, bo w oczach miałam nadal ten tragiczny widok, przerażający obraz, który pamiętam do dziś.

W mieście było coraz więcej zabitych. Wszystko pogrążało się w żałobie. Śmierć była stałym gościem. Powtarzały się naloty, bombardowania i aresztowania. Wysadzono most na rzece Wiśle. Spalono dworzec kolejowy. Podpalono fabryki i ładny dom na rynku. Miastu przybywało ruin i gruzów. Głód także nie był nam obcy. Matka, aby wykarmić nasze wiecznie głodne żołądki zbierała na łące kminek i inne zioła, z których robiła zupy, albo herbatki. Ja z moim bratem i synem sąsiadki wybierałyśmy się czasem na wieś około 8 km od miasteczka „po prośbie” – jak to nazywaliśmy – aby uzbiierać choć trochę mleka, ziemniaków, fasoli czy chleba. Ludzie na wsi choć sami mieli niewiele, dzielili się z nami. I dzięki im za to.

Matka wstawiała o czwartej rano, aby iść pod piekarnię i stanąć w kolejce po chleb. Później któreś z nas szło, aby ją zmienić. Pamiętam jeden z takich dni. Stałam długo w kolejce, bo zabrakło chleba, a bez niego nie chciałam wracać, gdyż wiedziałam co to głód. Czekałam na nowy, następny wypiek. Około południa miałam gorący, parzący mnie w ręce chleb. Łykałam już ślinę na myśl, że matka pokroi ten bochenek i każdemu z nas dostanie się duża pajda posmarowana melasą lub smalcem przetopionym z cebulą. Szłam szybko, prawie biegłam do domu, gdyż na nowo rozpoczęło się ostrzeliwanie artyleryjskie miasta. W tumanie unoszącego się kurzu i na pooranej pociskami ziemi leżał trafiony pociskiem motocykl wojskowy, a obok niego ciężko ranny niemiecki żołnierz. Przystanąłam. Widok był straszny. Żołnierz miał rozdarty pociskiem brzuch, a jego wnętrzności kłębiły się na zewnątrz jak węże. Spojrzałam na jego twarz. Był młody. Patrzył na mnie takimi oczami, które mu chyba sam diabeł dał. Przerażające, pełne bólu, konające. Człowiek ten jeszcze żył. Wykrzyknął jedno słowo: „Hilf...” W tym samym momencie z ust jego wypłynęła fioletowa ślina – krew. Umarł. Niebo było zachmurzone i ołowiane. Chmury powlekały horyzont. Ptaki nie śpiewały, tylko z dala dochodziło krakanie wron, jakby oczekiwały na żer. One wyczuwały śmierć.

Moje pogodne myśli o chlebie poszły w zapomnienie. Teraz biegłam już bardzo szybko ze strachu. Myślałam o tym zabitym człowieku. Zamknęło się jego życie na zawsze, a przecież jeszcze przed paru minutami był władcy. „Uber mensch”, „pan świata”, „Herren Volk”, władca okupowanego kraju! Teraz leżą na ulicy jego ludzkie resztki. Rozplakałam się, bo żal mi go było jako człowieka. Może nie chciał iść na tą okrutną wojnę, może ktoś czeka aż wróci? Tak jak my oczekiwaliśmy naszych z rodziny, których kurzawa wojenna zaniósł gdzieś w świat. Jednak ten żołnierz szedł zawojować świat. Szedł z ogniem

i mieczem, pożogą i krwią znacząc swój przemarsz. Okupant bowiem nie miał skrupułów ani przed Bogiem, ani przed osądem historii.

## Chleb i krew

Miasto moje tonęło w dymie ataku nacierającego nieprzyjaciela. Do domu miałam już niedaleko. Ciepły chleb, który niosłam, jeszcze nie wystygł. Nagle usłyszałam świst pocisku. Ledwie zdążyłam przykucnąć, zasłaniając rękami i chlebem głowę, gdy zobaczyłam błysk i usłyszałam huk. Pocisk trafił czereśnie, które były posadzone po obu stronach drogi prowadzącej z Katowic do Wisły. Wtedy poczułam piekący ból w obu kolanach, a strużki krwi zaczęły mi spływać po nogach. Odłamki z rozerwanego pocisku wbiły mi się w kolana. Spojrzałam na nogi. Mogłam dalej iść, ale krew płynęła dość obficie, gdyż nie miałam jej czym zatamować. Wydłubywałam ciepły, świeży miąższ z chleba i ugniotłam z niego dwa plastry, które nałożyłam na rozdartą skórę. Resztę chleba trzymałam pod pachą i tak wolniutko doszłam do domu. Chlebowe plastry były przesiąknięte krwią. Co za skojarzenie – chleb i krew – jak przy Ostatniej Wieczery Pańskiej.

## Utracona radość

To co do tej pory przeżyłam wydawało się być lepsze niż to, co następowało. Nocami niebo rozświetlały luno pożarów. Paliła się w oddali rafineria, w Czechowicach-Dziedzicach wytwórnia zapalek. Całymi nocami widać było na horyzoncie czerwone niebo. Z frontu dochodziły do Niemców złe wieści, nie szli już na wschód, teraz się wycofywali.

Którejś niedzieli w lipcu wybraliśmy się całą rodziną do pobliskiej wsi Dębowiec – rodzinnego majątku ojca. Tam co roku chodziliśmy na odpusty do kościoła Św. Małgorzaty. We wsi tej mieszkała moja kochana ciocia Milka, siostra mego ojca, która pozostała w rodzinnym majątku. Zawsze obławowani jakimś wiktuałami „reperowałyśmy” naszą spiżarnię domową.

Kraj nadal zagłębiony w okowy wojny był zmaltretowany, wykrwawiony, smutny. Ludzie gorąco modlili się o pokój. Był już rok 1944. Wracałam z kościoła z moją mamą i ciocią, a reszta rodziny gnała jak młode żrebaki po polach wśród dojrzewających zbóż. Na wiejskiej drodze pełnej kamieni i kolein zauważyliśmy idącą kolumnę więźniów, prowadzoną przez niemieckich żołnierzy. Kolumna szła od strony Cieszyna przez wsie w stronę Krakowa. Więźniowie byli skrajnie wyczerpani. W oczach ich było widać tylko strach i głód. Do drogi nikomu z powracających z kościoła nie wolno było podchodzić. Nie wiem co to” byli za więźniowie, ale myślę, że Żydzi. Szli tą drogą przez mękę. Pamiętam dobrze jedno zdarzenie. Jeden z więźniów – stary człowiek podobny do Św. Pawła – nagle zatoczył się i upadł twarzą w przydrożny pył. Nie mógł iść, gdyż nogi miał bose i całe w ranach. Wtedy podbiegł do niego jeden z wartowników i pchnął go mocno kolbą karabinu Starzec jednak me miał siły wstać, jedynie ukląkł i ręce wznosił w niebo jak w modlitwie do Boga. A może prosząc strażnika o litość?! Żołnierz jednak me miał nad staruszką litości i strzelił mu prosto w głowę Trun przewrócił się w uliczny pył. Jego dusza już nie cierpiała, lecz nasze serca ścisnęła ból. Kolumna powlekła się w dalszą drogę przez lzy i cierpienie.

Dom mojej ciotki był w odległości około 50 metrów od tej drogi która prowadzono skazańców. Do nocy leżały na niej ciała zmarłych lub dobitych. Gdy późno wieczorem ciocia poszła doić jedyną ocalałą krowę, cos w słomie pod żłobem zaszeleściło. W słomie siedziało dwóch śmiertelnie wystraszonych młodych ludzi. Ich ciemne oczy pały gorączką i głodem. Nie mówili po polsku. Gestem wskazywali na usta i okaleczone nogi. Moja mama i ciocia obmyły im rany, owinęły podartym ręcznikiem, a następnie ciocia dała im trochę jedzenia. Powiedziała że gdyby ich nakarmiła do syta, to by umarli. Dziwne nam się to wydawało. Skoro są tacy głodni, dlaczego ciocia nie da im jeść?

Trzymanie uciekinierów w miejscu ucieczki było niebezpieczne ponieważ Niemcy wrócą po trupy i gdy stan liczebny nie będzie im się zgadzał na pewno będą ich szukać. Wujek pożyczył od sąsiada konia pod pretekstem odwiezienia nas i mamy do domu do miasta. Na wóz załadował siano i nas – czyli dzieci i mamę. Oczywiście pod sianem wieźliśmy nieoczekiwanych gości. Pojechaliśmy. Mama i wujek całą drogę modlili się, a nam nakazali pod żadnym pozorem się nie odzywać Mieszkaliśmy na peryferiach, tuż pod lasem. Obu uciekinierów matka umieściła a na strychu w naszym domu, w słomie, którą przywieźliśmy ze sobą. W nocy przebrali się i umyli. Matka zaniósła im wiadro z wodą i drugie na nieczystości, a także trochę jedzenia i zamknęła drzwi na kłódkę. Przez około trzy tygodnie nocą nosiła im jedzenie, zmieniała bandażę i parzyła ziółka. Odzież, w której uciekli z kolumny spaliliśmy w ognisku. Miała ta odzież, a raczej łachmany, niezliczone ilości wszy. To co pozostało z ogniska zakopaliśmy.

Po jakimś czasie, którejś nocy ktoś energicznie zapukał w nasze okno trzema krótkimi stuknięciami. Matka wyskoczyła z łóżka i krzyknęła: „Bogu dzięki – są!”. Poszła otworzyć drzwi. Do mieszkania weszło sześciu uzbrojonych mężczyzn, w resztkach niekompletnego umundurowania. Nie byli to Niemcy. Na plecach mieli jakieś tobołki, a w rękach broń. Mama sprowadziła ze strychu obu uciekinierów. Jeden z przybyłych ostrzygł obu bardzo elegancko i ogolił. Zrobili się bardzo przystojni. Dano im inne odzienie, obuwie i broń. Matka na odchodnym dała im zawiniątko z chlebem, kartoflami i kawałkiem wędzonego boczką, przywiezionego od cici ze wsi. Pożegnali się z nią bardzo serdecznie, a nam – leżącym w łóżkach – pokiwali ręką i poszli w las. Później mama powiedziała, że ci ludzie co tu byli, to ludzie z lasu, czyli drwale. Po wojnie mama komuś opowiadała, że tych dwóch uciekinierów przerzucono przez granicę na Węgry i ocaleli. Mówiła też, że może nas kiedyś odwiedzają, bo obiecali. Na to mój ojciec powiedział: „A co ty Helciu myślisz, że oni w ogóle nas pamiętają...?”. Niestety nie odwiedzili nas, ale może zapamiętali.

## Za mowę polską

Pierwszy czerwca obchodzony jest na świecie jako Dzień Dziecka. Mam w pamięci ten dzień w 1944 roku. Wojenna zawierucha przewalała się przez Europę i przez Polskę. Kraj nasz leżał w gruzach, a z jego krwawych ran wytaczano ostatnią krew. Mieszkałam wówczas na Śląsku Cieszyńskim, a tam wszystkie dzieci obowiązkowo musiały uczęszczać do szkół niemieckich. Chodziłam już wtedy do trzeciej klasy podstawowej, ale w domu nasza matka uczyła mnie i mego brata pisać i czytać po polsku. Bardzo się to po zakończeniu wojny przydało.

Był więc 1 czerwca 1944 roku. Poszłam do szkoły z rana. Dzień był piękny, słoneczny. Drzewa czereśni obwieszane były kiściami dojrzałych owoców. Idąc do szkoły mój brat zrywał je dla nas na drugie śniadanie, gdyż prócz tych czereśni nic innego nie mieliśmy. Kiedy była duża przerwa wypędzano wszystkie dzieci na boisko szkolne celem przewietrzenia klas. Zbiegając ze schodów na parter odwróciłam się do mojej koleżanki Lidzi i zawołałam ją po polsku – chodź szybciej, bo chciałam się z nią podzielić moimi słodkimi czereśniami. W szkole był surowy zakaz używania języka polskiego. Nie wiem, jak to się stało, ale jak spod ziemi wyrósł przy mnie kierownik szkoły, zagorzały faszysta. Jednym energicznym chwytem złapał mnie za moje długie warkocze i owinął je sobie wokół ręki. Drugą wymierzył mi cios w twarz. A potem... Potem bił moją twarzą o ścianę raz za razem. Chciałam twarz zasłonić rękoma, ale wtedy chwycił mi je mocno i przytrzymał. Uderzenia twarzą o ścianę powtarzał – zdawało mi się – w nieskończoność. Słyszałam krzyk dzieci, które tę scenę obserwowały, a ja widziałam na ścianie coraz większą plamę krwi, spływającą strużkami po lakierowanej lamperii. Wreszcie mnie puścił i odtrącił kopniakiem. Nie upadłam, choć oczy zalewała mi krew z rozbitego czoła. Z nosa urósł mi fioletowy, krwawy kartofel (ze złamaną przegrodą nosową), a z warg i brody zwisały mi płateczki popękanej skóry. Wyglądałam potwornie. Oczywiście moje czereśnie w trakcie szamotaniny zostały zdeptane. No cóż... i tak nie byłabym w stanie ich wtedy zjeść. Pomimo bólu zacięłam się i nie płakałam, choć inne moje koleżanki płakały za mnie i o mnie. Zaprowadzono mnie do toalety, gdzie obmyto mi twarz, a ja spluwałam krwią. Następną lekcję mieliśmy z nauczycielką z Berlina. Nazywała się Cappf. To była bardzo dobra pani, choć także rodowita Niemka. Gdy mnie zobaczyła, widziałam smutek na jej twarzy. Wysłała mnie zaraz do domu dając mi do opieki jedną z koleżanek, córkę naszych sąsiadów. Przez tydzień twarz miałam fioletowo-zielono-żółtą. Matka robiła mi okłady z jakiegoś zielska, a ja ledwie widziałam na szparki oczu wyglądających przez spuchnięte powieki. Bardzo byłam zadowolona, że nie miałam wybitych moich młodych, dopiero co niedawno wyrosniętych, drugich zębów. No cóż... to było za mowę polską. I taki był ten mój 1 czerwca – Dzień Dziecka. Teraz, po wielu latach, gdy o tym sobie wspominam, przychodzą mi na myśl słowa Roty – „nie damy pogrześć mowy”.

## Mruczuś

Był to mądry kot. Właściwie była to kotka, ale my nazywaliśmy ją Mruczuś i już. Jako dzieci nie zastanawialiśmy się nad tym, jakiej jest płci. Mruczuś wychowywał się z nami – piątką drapichrustów i jak sięgam pamięcią zawsze był. Nawet nikt z nas nie pamięta, skąd się wziął. Podobno ojciec go znalazł gdzieś na śmietniku, włożył do kieszeni i przyniósł do domu. Mruczuś był dzielny i wyrozumiały dla mojego młodszego rodzeństwa, które nieraz ciągnęło go za ogon nie mając siły jeszcze go podnieść. Kot jednak te nieprzyjemne pieszczoły bohatercko znosił i nikogo z nas nie podrapał. Był popielaty, z ciemnymi pręgami, jak popularny dachowiec, ale inteligencję miał arystokraty. Jego śliczne, okrągłe oczka ciągle się śmiały lub czemuś dziwiły. Nie był rozpieszczany – jadł wszystko to co my. Chleptał mleko lub wodę i za to był wierny przez dwadzieścia lat.

Przytoczę parę przypominających mi się w tej chwili zdarzeń, gdyż wiele szczegółów uleciało z pamięci po tylu latach. Była wojna, front stanął na Wiśle, a nas wypędzono z domu. Niemcy pozwolili zabrać tylko tyle, ile uniesiemy. Szybko, prawie w biegu matka pakowała jakieś bety, a mój brat złapał Mruczka. Wsadził go do siatki na zakupy i powiesił na starym rowerze ojca. Matka na rower naładowała jeszcze jakieś tobołki. Ruszyliśmy z domu. Mama płakała i pchała rower, a brat prowadził go za kierownicę, na której w siatce dyndał kot. Tak dotarliśmy kilka kilometrów od domu do pewnej szkoły i tam ulokowaliśmy się w obszernych piwnicach. Kiedy rozładowaliśmy tobołki, zauważyliśmy w siatce dziurę. Mruczka ani śladu. Biadoliliśmy, że kot zginie gdzieś na wojnie z głodu lub od kuli.

Minął jakiś miesiąc. Poszliśmy zobaczyć, czy stoi jeszcze nasz dom. Przy okazji chcieliśmy wyciągnąć z piwnicy worek ziemniaków, który tam pozostał. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy na progu domu zobaczyliśmy Mruczusia. Siedział cały i zdrowy, tylko nieco wychudzony. Tym razem schowaliśmy go do pudła, skąd nie mógł uciec i wrócił z nami do piwnicy.

Pewnego dnia – już po wojnie – ojciec zauważył, że Mruczek stale się tylko wyleguje przy piecu. Powiedział więc do niego: „Ależ z ciebie leń. Leżysz tylko całymi dniami, a myszy to ja mam za ciebie łapać?”. Kot spojrzął na tatusia i wstał od pieca. Przeciągnął się leniwie i poszedł pod drzwi. Zamiaczał, żeby mu otworzyć i wyszedł. Nie minęło więcej jak piętnaście minut, gdy usłyszeliśmy go pod drzwiami głośno miażdżącego. Kiedy moja siostra otworzyła mu drzwi, on dumnie wszedł do mieszkania wlokąc dużą mysz, która jeszcze się wyrывała z jego zębów. Mocno ją zacisnął szczękami i położył na podłodze przed moim ojcem. Nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom, że ten kot tak rozumie ludzką mowę. Ojciec pogłaskał go, powiedział mu kilka komplementów, które ten przyjął obojętnie – wrócił pod piec i zasnął.

Zawsze przed świętami matka kupowała na targu gęś, a potem ją tuczyła kukurydzą. Ja uważałam to za torturę, więc jej później nie jadłam. Właśnie mama miała tuczyć kupioną gęś, więc poszłam z bratem na strych. Tam w skrzyni leżały kaczany dorodnej kukurydzy, którą trzeba było obłuskać na karmę. Kiedy otworzyliśmy wieko skrzyni zauważyliśmy kilka skaczących wewnątrz myszy. Szybko wieko zatrzaskałam, a brat pobiegł po Mruczusia. Potem wrzuciliśmy tam kota. Co tam się działo. Cała skrzynia aż się ruszała. Znowu otworzyliśmy wieko, a wówczas kot wyskoczył trzymając w zębach od razu dwie myszy. Potem biegał tam i z powrotem wyciągając co chwila spośród kaczanów coraz to nową mysz. Razem leżało pokotem siedem sztuk. Kot dumny z dokonanego dzieła, siedział przy nich uważnie obserwując, czy jakaś nie ma zamiaru jeszcze umknąć.

Któregoś dnia ojciec poszedł do ogródka zryć małą grządkę. Nagle z dziury wyskoczył duży szczur i zaatakował tatę, gryząc go w but. Ojciec chciał go uderzyć łopatą, gdy nagle spod krzaka wyskoczył Mruczuś i stanął w obronie swego pana. Rzucił się na szczura i wpijając ostre zęby w kark dusił go. Jednak gryzoń był silny i duży – walczył o życie, gryząc kota i drapiąc. Dopiero gdy ojcu udało się przycisnąć łopatą szczura do ziemi, Mruczek dokończył swoje dzieło. Ojciec prawie przez tydzień opatrywał i dezynfekował kotu rany i skaleczenia.

Co roku Mruczuś przyprawdzał nam swoje dzieci. Najpierw je dobrze ukrył, a raczej ukryła. Potem, gdy już dobrze widziały i chodziły, przyprawdzał swe maleństwa, aby nam je zaprezentować. Czasem prześliczne kociątka zanosiliśmy do szkoły i rozdawaliśmy dzieciom, których rodzice pozwolili na trzymanie zwierzęcia w domu lub gospodarstwie. I tak było przez dwadzieścia lat. My rośliśmy, a kot się starzał. Piszę te wspomnienia, bo właśnie mija czterdziesta rocznica, gdy to się stało.

Była mroźna zima. Od kilku miesięcy moja mama umierała na raka. Kot jej nie odstępował na krok. Całymi dniami leżał obok niej w łóżku, a ona mu na to pozwalała. Kiedy w Sylwestrową noc mama zmarła wszyscy strasznie płakaliśmy. Trzy dni później odprowadziliśmy ją na cmentarz cały zasypany śniegiem. Pozostawiła nas całkiem samych, gdyż trzy lata wcześniej odprowadziliśmy na ten sam cmentarz ojca. Po przebytych obozie tata niestety nie wyleczył się. Przez dwa dni szukaliśmy Mruczka. Nie pomogły nawoływania. Kilka dni później znaleźliśmy go w korytarzu, wciśniętego w kąciku. Leżał na starych butach mej matki. Nie żył – odszedł razem z nią...

## Tereska

Wojna swą nawałnicą przetaczała się przez świat. Pożogą wojenną była zmaltretowana nie tylko Polska, nie tylko Europa, ale wielka część świata. Mała iskierka nadziei zaczęła błyszczeć od momentu, gdy coraz mniej zwycięstw, a coraz więcej klęsk spotykało hitlerowskie wojska. Front coraz bliżej podchodził pod moje miasto. Cofające się oddziały niemieckie opierały się nadechodzącej Armii Polskiej i Radzieckiej. Każdy dzień był wielką niewiadomą. Któregoś właśnie dnia matka wysłała mnie z moim młodszym bratem do pobliskiego gospodarstwa, abyśmy kupili trochę mleka. Brat zabrał bańkę i już mieliśmy wyjść, gdy nasza młodsza siostra Terenia zaczęła się łasić do mamy, aby i ona mogła pójść z nami. Była wczesna wiosna, a między skibami poranej ziemi bieleły się grudki śniegu. Powietrze było rześkie. Na horyzoncie wstawało śliczne słońeczko. Potocznie naszą siostrę nazywaliśmy Tereska lub

Renta. Miała prawie pięć lat i jej towarzystwo nie bardzo nam – „dorosłym” – dziewięcio- i dziesięciolatkom odpowiadało. My już mieliśmy swoje własne tajemnice i chodziliśmy własnymi drogami, jak stare koty. Opieka nad małym dzieckiem była dla nas utrudnieniem. Ale skoro teraz beczła, że chce iść, mama kazała ją zabrać. Był przecież taki piękny poranek. Szliśmy, więc zmarzłą ścieżką w górę, aby polami dojść do gospodarza. Wlekłam siostrę za rękę, gdy nagle na błękitnym niebie ukazały się dwa samoloty. To się wznosiły, to opadały, nurkowały lub pikowały w górę. Stanęliśmy i przyglądaliśmy się tym karkołomnym akrobacjom. Wyraźnie było widać, że ten większy samolot ucieka przed mniejszym. Mniejszym był niemiecki myśliwiec, który starał się stracić ten drugi, robiąc różne akrobacje. Kule z niemieckiego samolotu chybiły jednak i spadały niedaleko nas. Porwaliśmy się do ucieczki. Niedaleko miejsca, w którym staliśmy rosło samotne drzewo – duży dąb. Mój brat pędził co tchu i schował się za jego pień, ja za nim, a nasza Tereska pozostała sama na łące. Duży samolot schował się w chmurach za lasem, więc niemiecki myśliwiec zawrócił i zaczął pikować nad naszą Tereską, strzelając do niej z karabinu maszynowego. Ona – nie mogąc tak szybko uciekać po zaoranej, zamarznętej ziemi – przewróciła się między skiby. Seria przeszła obok niej, tylko ziemia podskakiwała. Myśleliśmy, że już po naszej Teresce. Samolot odleciał, a my z wrzaskiem rzuciliśmy się teraz na jej ratunek. Żyła, miała obdarte nogi i brodę, ale żyła. Była brudna od mokrej ziemi i płakała. Wzięłam ją na ręce i uciekliśmy z powrotem pod dąb, nie będąc pewni, czy Niemiec nie powróci. Przecież byliśmy świadkami jego nieudanego ataku na obcy samolot. Oczekaliśmy jeszcze chwilę i pobiegliśmy do domu opowiedzieć całe zdarzenie.

## Kabel

W mieście Skoczów, gdzie żyłam z rodziną, coraz bardziej można było odczuć złe nastroje, panujące pomiędzy hitlerowcami ponoszącymi klęskę. Front się zbliżał do linii Wisły. Nacierające wojska radzieckie wypychały hitlerowców na południe w kierunku Czechosłowacji i Niemiec. Któregoś dnia pod dom podjechała kolumna niemieckich samochodów. Niemcy kazali się nam i naszym sąsiadom wynieść z domu. Ewakuowano nas do odległej o trzy kilometry szkoły ewangelickiej, znajdującej się na wzgórzu „Kaplicówka”. W popłochu nie wiedzieliśmy co zabrać ze sobą i co robić. Ojca nie było, wywieziono go gdzieś na przymusowe roboty. Mój brat pomagał pakować mamie jakieś pierzyny i obraz Matki Boskiej, który dostała od swego ojca wiele lat temu na prezent ślubny.

Szkoła, do której nas przeniesiono, znajdowała się na wzniesieniu obok kościoła ewangelickiego. Był stamtąd wspaniały widok na miasto i odległe wzgórza Beskidów. Za kilka dni do tejże szkoły zaczęto masowo zwozić z frontu rannych żołnierzy. Na budynku wisiała flaga Czerwonego Krzyża, a na dachu namalowano taki sam znak dla przelatujących samolotów. Rannych układano na ławkach w klasach, na korytarzach i na podłodze. Nazywano to lazaret, ale w piwnicach tego „szpitala” urzędowali oficerowie ze sztabu frontowego i pracowała radiostacja. Teraz mieliśmy dużo zajęć. Ja cięłam bandażę i zwijając je w ruloniki wkładałam do skrzynek lub z waty robiłam małe białe kuleczki. Stale tego było za mało. Moja mama z panią tercjaną prały, prasowały i latały żołnierską odzież. Za to otrzymywaliśmy jedzenie z żołnierskiego kotła. Przy całej tej „akcji” odwszawiania wojska my dzieci także dostaliśmy wszy. Matka i nas zaczęła odwszawiać, sypiąc nam na głowy kilogramy proszku DDT i owijając je białymi szmatami, co nas ogromnie śmieszyło. Wszyscy z białymi czepcami na głowach wyglądaliśmy jak ranni. Mój brat znosił do lazaretu owoce, które właśnie dojrzewały w sadzie lub napychał specjalnym tłoczkiem-popychaczem tytoń do tutek „Solali” i rozdawał żołnierzom. Tytoniu do napełniania było mało, więc dosypywaliśmy do niego suszonych ziół i mieszałyśmy, aby było więcej.

Któregoś dnia mój brat z synem tercjanek chcieli pomóc swoim matkom rozwieszać pranie. Było jednak za mało sznurków, więc poszli poszukać czegoś koło szkoły. Odkryli, że z okienka jednej z piwnic wychodzi gruby kabel i biegnie dalej do ogrodu, zamaskowany ziemią i matami ze słomy. O odkryciu powiadomił mnie mój brat, bo potrzebował pomocy w przecięciu tego kabla. Zatem wzięliśmy obcęgi i młotek, a syn pani Krzywoniowej duży kamień w celu podłożenia go pod obcęgi. Wzięliśmy się do roboty. Ja kleszczami trzymałam przewód, opierając go na kamieniu, a mój brat walił młotkiem, aż kabel został przecięty w dwóch miejscach. Dumni ze swojej pracy wróciliśmy do pralni. Jeszcze nie zdążyliśmy rozpruć tego kabla, aby wyciągnąć z niego liczne kolorowe druciki, gdy na dworze powstał rwetes. Niemcy coś wrzeszcząc wskakiwali na motocykle i do samochodów i jechali na drogę, bacznie sprawdzając wszystkie słupy telefoniczne. W chwilę później wyszedł z piwnicy zdenerwowany oficer. Ocierając pot z czoła spojrzął na nas i zbladł. Wyrwał z ręki mojego brata ów kabel i rzucił go żołnierzowi, który stał nieopodal. Porwał moją matkę za ramię, a tercjanę za włosy i pchnął je pod mur szkoły. Wyciągnął z kabury pistolet. Moja matka stała w swej brązowej sukience i białym fartuszką, a obok niej pod murem ślaniająca się tercjaną. Wszystkie dzieci zaczęły płakać, a ja i mój brat uczepiliśmy się rąk oficera. Klęcząc trzymałam go za wyglansowane buty oficerki. Wszyscy wrzeszczeliśmy, że to my zrobiliśmy, a nie nasza mama. Syn tercjanek leżał błądy na ziemi i wył jak

potępieniec. Do akcji wszedł teraz telegrafista i sprawy potoczyły się błyskawicznie. To ten żołnierz od radiostacji uratował nam życie. Powiedział coś nerwowo do oficera i wskazał przy tym na moje dwie małe siostry. Powiedział, że też ma takie małe dzieci, że my nie zrobiliśmy tego naumyślnie. Poprosił o pięć minut na naprawienie szkody. Udało mu się i dzięki mu za to Panie.

Gdy usłyszeliśmy, że naprawa skończona, oficer dał znak pistoletem, że moja mama i pani Krzywoń mogą odejść. One się jednak nie ruszały. Pani tercjanka osunęła się na ziemię, a mama stała zupełnie bez życia. Dopiero odgłos warkotu motocykli przywrócił matce świadomość i wolno poszła z powrotem do pralni. Wieczorem długo płakała i modliła się, ale nam nic nie powiedziała. Nie rozumieliśmy wówczas wielu rzeczy. Uważaliśmy, że brak komentarzy to ze względu na uczucie, jakim nas darzy kochająca nas mama.

## Dni nadziei

Wszyscy mieszkańcy piwnicy chodzili smutni, zatroskani i przybici. Łuny na niebie było widać coraz częściej, a w dali słyszeć się dało nieustanny odgłos dział. W nocy natomiast niebo rozświetlały katusze, rosyjskie pociski wystrzeliwane z jednego działą całą serią. Tworzyło to piękne linie świetlne. Całymi dniami teraz siedzieliśmy w piwnicy. Szpital żołnierzy niemieckich w ciągu jednej nocy został zlikwidowany i wszystkich rannych gdzieś wywieziono. Pozostały tylko krwawe bandaże i rzucony o ziemię piękny, kolorowy portret Hitlera, z jego butną miną i wyzywającym wzrokiem. Ten portret znalazłam z moim bratem i ku naszej radości wydłubaliśmy mu oczy. Potem zrobiliśmy mu dziurę w wąsach i ustach. Po tych torturach podariliśmy portret na kawałki i zanieśliśmy scalić. Tak się skończyło panowanie Hitlera w tym budynku.

Gdy natarcie się wzmagало, mama zbierała nas i klękaliśmy przed obrazem Matki Boskiej i modliliśmy się gorąco. Mama stale wymyślała nowe litanie i modlitwy, by naszą uwagę odwrócić od tego, co działo się na zewnątrz. Nagle zatrzęsło całym domem, a za chwilę nastąpiło drugie uderzenie. Wtuliliśmy się w kąt za duży piec. Wszędzie zapanowały ciemności, a w gardłach poczuliśmy pył z ceglanych ścian. Kłęby sadzy zalewały piwnice. Gdy wszystko się uspokoiło wyszliśmy zobaczyć co się stało. Narożnik ściany był rozwalony tak, że było widać ławki w klasie bez ściany. Jeden z pocisków rozwalił także komin, a cała sadza wpadła do piwnic. Spoglądaliśmy na siebie i śmieliśmy się, bo każdy z nas wyglądał jak kominiarz. Najbardziej podobała nam się Elka – córeczka tercjanki, która w piwnicy miała na sobie biały płaszcz, a teraz wyglądała jak mały, czarny kotek. Buzię też miała całą czarną.

Po generalnym myciu i zaspokojeniu głodnych żołądków, ja z bratem poszliśmy się trochę przejść. Udaliśmy się do odległego o 150 m kościoła ewangelickiego. Choć stał on na górze i był doskonałym celem, to jednak nie ucierpiał. Weszliśmy do środka. Rozbite żyrandole rozsypały jak lzy po posadzce swoje kryształowe paciorki. Zebrałam parę, aby zrobić z nich naszyjnik dla mamusi. Łącząc bez celu po kościele doszliśmy aż na wieżę i tam zauważyliśmy, że Niemcy nie ukradli dzwonu. Ten jedyny ocalał. Z całych sił oboje zaczęliśmy pociągać za sznur. Rozkołysany dzwon najpierw uderzył kilka razy tylko w jedną stronę, wydając piękny, mocny dźwięk bim, bim, bim.. Pociągnęliśmy mocniej i serce dzwonu z rozmachem uderzyło w drugą stronę – bam. Jednak takie bicie i ciągnięcie za gruby sznur, to ciężka praca, więc zaniechaliśmy dzwonienia i poszliśmy dalej zwiedzać pobliską parafię. Budynek był ogołocony z mebli i obrazów. Było tam pusto, więc poszliśmy do parafialnej szopy. Tam odkryliśmy skarb. Cała szopa była zavalona amunicją: granatami, raketnicami i inną w pośpiechu pozostawioną bronią. To nas ucieszyło. Widać było, że Niemcy nie mieli nawet czasu, by zabrać broń. Powiadomiliśmy oczywiście o tym mamę. To była jaka nadzieja.

Później, już po wyzwoleniu, ludzie w mieście opowiadali, że chyba mieli halucynacje lub jakiś cud sprawił, że słyszeli bicie dzwonu. Przecież dzwonów nie wolno było używać, a poza tym ich nie było. Jednak to nie były złudzenia – my naprawdę dzwoniliśmy.

## Nasza biało-czerwona

Wspomnę na zakończenie jedno zdarzenie. Był 1 maja 1945 roku. Wymęczeni długim siedzeniem w piwnicy, spragnieni i głodni, postanowiliśmy przynieść trochę wody. Od godziny już nie atakowano. Słysząc tylko pojedyncze strzały z karabinu maszynowego. Ktoś musiał iść na parter po tę wodę. Ja z dziećmi byłam najstarsza, więc postanowiłam pójść. Ucieszyłam się tym, bo mogłam zobaczyć choć kawałek nieba, ogród i sprawdzić, jaka jest pogoda. Był piękny, wiosenny, słoneczny dzień. Nagle na jednym z budynków w mieście coś zamigotało. Szkoła, w której się ukrywaliśmy była na wzgórzu i można było stamtąd wszystko dobrze zobaczyć. No i ja właśnie zobaczyłam – powiewający na wietrze nasz biało-czerwony sztandar. Znałam ten znak, bo taki sam mama miała zaszyty w poduszce. Sprawdziłam, to nie był faszystowski znak, tylko nasza flaga, nasza biało-czerwona. Pobiegłam

z krzykiem do piwnicy. Wszyscy myśleli, że dostałam serię w pierś, bo trzymałam się za serce i za gardło. Nie mogłam wykszusić z siebie słowa. W końcu udało mi się powiedzieć, że tam widziałam nasz sztandar biało-czerwony. Coś mi nie dowierzano, ale wszyscy wybiegli z piwnicy. Matka przeskakiwała po dwa schody. Kiedy wyglądaliśmy wszyscy przez wybitą szybę, zauważyliśmy dwie postacie przycupnięte w ogrodzie. Ktoś zza krzaków krzyknął „Germańcy są”, a myśmy spojrzeli na siebie. Mama zawołała, że nie ma tu Niemców. Pobiegła otworzyć drzwi. Weszli. Dwóch umundurowanych żołnierzy radzieckich, zmęczonych, spoconych. Jednemu z nich z czoła spływała strużka krwi. Matka rzuciła się jednemu z nich na szyję, płakała i dziękowała im, że przyszli. Wszyscy cieszyliśmy się. Żołnierz się uśmiechnął i wskazał na mojego brata Stasia i najmniejszą córeczkę pani Krzywoń – Elę i powiedział: „Ja też mam takoję rebiaty...”. Myśmy się do nich tylko uśmiechali i patrzyliśmy na nich, jakby to byli posłańcy niebios, jak to później mama powiedziała. To byli nasi bohaterowie z pierwszej linii. Podano im do picia koziego mleka, a pani tercjancka obmyła ranę na głowie żołnierza i zabandażowała mu czoło. Mówili – nie bójcie się, za nami idzie potęga militarna oraz wasze polskie wojsko. My już germańców tu nie puścimy. Idziemy się bić aż do Berlina – i poszli. Do matki jeden z nich powiedział: „chadziąjka, a ty się modlij za nas”. Patrzyliśmy jak odchodzą w stronę Cieszyna. Życzyliśmy im w naszych sercach szczęśliwej drogi, zwycięstwa i powrotu do swoich rodzin.

Byliśmy wolni! Byliśmy szczęśliwi. Choć skutki tej wojny miały na zawsze być powodem do płaczu i smutku. Ale tego jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy. Długo staliśmy na wzgórzu i oczyma odprowadzaliśmy dwa znikające w oddali punkty. Tylko dlaczego wtedy moja mama z tercjancka płakały – nie wiedzieliśmy.

## Grudniowa zawieja

Skończyła się właśnie wojna. Kraj pogrążony był w żałobie i gruzach, oczekując pierwszego po wojnie Bożego Narodzenia. W moim domu rodzinnym święta zapowiadały się bardzo skromnie. Chociaż cieszyliśmy się z powrotu naszego ojca z obozu, z wyciętej z lasu choineczki, którą przybraliśmy później wycinankami z papieru, bo innych ozdób na choinkę nie było. Cieszyły nas duże, cudowne, białe gwiazdki spadające z nieba. Wielkie czapy śniegu przyozdabiały kołki w płocie, dachy i gałęzie drzew. Wszystko tonęło w bieli na powitanie małego Jezuska.

No cóż, dzieci cieszą różne rzeczy. Ale na twarzach naszych rodziców nie było widać radości. Ojciec wyniszczony tyfusem wolno dochodził do zdrowia, a matka spoglądając na nas, na ojca i na kalendarz ze zbliżającą się gwiazdką, nie ukrywała zatroskanej twarzy. Było około dwóch tygodni do Bożego Narodzenia, kiedy mamusia powiedziała do nas: „Na Wigilię będziemy mieli zupę grzybową z zebranych jesienią w lesie grzybów i fasole”. Nic więcej nie miała.

Byłam dzieckiem z czwórka drobno rodzeństwa, ale najlepiej rozumieliśmy się z młodszym ode mnie o rok bratem, bo reszta to drobiazg, który o wszystko beczał, a pożytku z tego niewiele. Mieliliśmy też fajnego kolegę Mańka, rówieśnika, syna sąsiadów. U nich też była bieda. Zawołałam obu chłopców i uradziliśmy, że zbierzemy coś na Wigilię dla naszych mam przez kołędowanie. Zaraz z rana następnego dnia wyruszyliśmy na obchód. Maniek przebrał się za diabła. Staś, mój brat, za Mikołaja, a ja za anioła. Maniek wysmarował się sadzą po twarzy i rękach, włożył stare spodnie z latami i ojca stary kozuch odwrócony wełną na zewnątrz. Przepasał się łańcuchem, do czoła dokleił czerwone rogi zrobione z tektury. Brat włożył papierową tiarę pięknie wymalowaną i dokleił brodę i wąsy z waty. Owinął się dwoma prześcieradłami na dodatek połatany. Taką obfitą zrobił brodę, że oddychać nie mógł, ale mu za to nie było zimno. Ja także miałam prześcieradła zamiast anielskich szat, a na głowie śliczną gwiazdkę ze staniolu okręconą drucikiem, by mi nie spadła z czoła.

Po sporządzeniu strojów wyruszyliśmy skoro świt na „podbój” najbliższych domów, odchodząc coraz dalej, aż do pobliskich wsi. Brnąc przez śniegi, odganiając ujadające psy – chyba na widok paskudnego diabła – docieraliśmy codziennie do innej wioski. Aby obejść jak najwięcej domostw z naszą kołędą wstawaliśmy o czwartej rano. Wracaliśmy okropnie utrudzeni nocą. Prócz zmęczenia dokuczało nam zimno i głód. Bo chociaż otrzymywaliśmy w podzięcie od dobrych ludzi za nasze kołędowanie różne wiktuały, wszystko Mikołaj – mój brat – ładował do wora. Czasem ktoś dał nam w rękę kromkę chleba z masłem, czy skwarkami. Tego do wora nie dało się włożyć, bo były tam inne skarby, jak: kawałki słoniny, boczku, ziemniaki, fasola w woreczku i po dużym kawałku chleba lub kołacza nawet. Zatem te malutkie kromeczki otrzymywane do ręki wędrowały do naszych żołądków, wечно nienasyconych. Zdarzało się, że otrzymywaliśmy za pięknie odśpiewane kołedy i parę złotych, co pozwoliło naszym matkom na zakup czegoś w sklepie. Wszystko co otrzymywaliśmy dzieliśmy równo na nas troje, taka była umowa na początku. Dobrzy ludzie (niech im Bóg pobłogosławi za to), obdarowując nas tym czym mogli, nie zdawali sobie nawet sprawy, że ratują nas od głodu w ten uroczysty świąteczny czas.



Co dnia przez śniegi i zasy śnieżne docieraliśmy do różnych najbliższych wsi. Ale i tak było to nieraz od ośmiu do dziesięciu kilometrów w jedną stronę. Ze świtem pukaliśmy już do okna lub drzwi, wołając, że kolędnicy przyszedli i gdy nam otworzono zaczynaliśmy śpiewanie dwóch kolęd. A potem mówiliśmy: „Winszujemy wam wszystkiego najlepszego, ale nie tylko teraz, ale i na te przyszłe czasy, byście się mieli jak w niebie Anieli, a winszować nie przestaniemy póki czegoś nie dostaniemy”. Wtedy ktoś z domowników szukał czym można by nas obdarować, a ja mówiłam, że przyjmujemy wszystko i wyliczałam co nam najbardziej potrzebne. W tym czasie diabeł rozpoczynał harce, a trzeba przyznać, że miał nasz kolega nieprzeciętne poczucie humoru. Właził pod stół lub robił koziołki po podłodze. Gdy były jakieś dzieci straszyl je i wywijal łańcuchem. Po otrzymaniu podarku dziękowaliśmy „Bóg zapłać” i ruszaliśmy do następnego gospodarstwa. Śnieg sypał i sypał. Świat był cudowny. Byłby jeszcze piękniejszy, gdyby nie doskwierały nam głód i zimno.

Tak przy kolędowaniu szybko schodził nam dzień po dniu. W szkole były ferie świąteczne, więc obowiązków żadnych nie mieliśmy. Nadszedł dzień wigilijny – ostatni dzień naszego kolędowania. Chcieliśmy wrócić około południa do domu, aby przystroić choinkę i wykąpać się przed Wigilią. Aż rozpychała nas дума, ileż to dobroci znieśliśmy z tego kolędowania do domu. Około czwartej rano byliśmy już w drodze do wsi Ochaby. Kiedy zastukaliśmy do pierwszego domu nikt nam nie otworzył. I tak się zdarzało. Na przełaj przez łąkę i zaorane, pokryte grubą warstwą śniegu pole przeszliśmy do następnego gospodarstwa. Chociaż było bardzo wcześnie gospodarze już chodzili wokół swej trzody. Nie spał też ich może 5-letni synek. A zatem Maniek – diabeł – miał pole do popisu. Straszyl dziecko, które uciekało za spódnicę matki i krzyczało. Potem diabeł wlażł pod mały, kuchenny taboret.

Tak się tam nieszczęśliwie wcisnął, że nie mógł wyleźć. Przewracał się z tym taborem, a ja choć miałam być poważnym aniołem, śmiałam się do łez, a ze mną także gospodyni i jej mały synek. Wreszcie się czartowi udało jakoś wyzwolić z tego krzesła przy pomocy Mikołaja, ale urwał sobie przy tych figlach jeden róg, który teraz mu zwisał z czoła na oko. Ale to nic. Gospodyni obdarowała nas hojnie dodając całą oselkę masła owiniętą w pergaminowy papier. Dziękując wyszliśmy na dwór, a tam prawie nie było widać światła, taka zerwała się zawieja śnieżna. Wiatr szarpał konarami drzew, wielkie płaty śniegu jak ostre bicze waliły nas po twarzach. Postanowiliśmy wracać do domu, ale ponieważ w drodze był jeszcze jeden dom, chcieliśmy do niego zajść, by się choć trochę ogrzać i przeczekać nawałnicę. Dobrnęliśmy do drzwi. Były otwarte, więc weszliśmy do długiej, ciemnej sieni. Panował tu zupełny mrok. Zamknęliśmy sieni, by śnieg nie wlatywał do środka. Po ciemku macaliśmy ścianę, aby odszukać klamkę do drzwi do kuchni. Nagle usłyszeliśmy plusk i trzask oraz krzyk diabła – „Jezu!”. Zrobił się rwetes, na co zapaliło się w sieni światło. Z przyległych drzwi wyszła stara kobieta i zaczęła krzyczeć – „co się tu dzieje?!”. My patrzymy z bratem, a Maniek – diabeł – siedzi na jakimś korycie dla świń w parujących ziemniakach, otrębach i pomyjach. Widok był przezabawny. Nie byliśmy w stanie wypowiedzieć jednego słowa. W końcu wylazł z tego koryta cały wytapiany jakimś resztkami. Biedny diabeł trzymał się za głowę, gdyż upadając uderzył głową w jakąś skrzynię. Wreszcie brat wyjąkał słowo, że przyszliśmy tu winszować. Baba była zła, ale powiedziała – no to winszujcie. Diabeł nie śpiewał, stał mokry, brudny i trzymał się za głowę. Ja z Mikołajem zebraliśmy w sobie siły i zaczęliśmy kolędę, ale nam to nie szło, bo stale wracaliśmy myślami do widoku diabła w pomyjach. Kobieta podała nam po jednym orzechu i powiedziała: „tak szkaradnie żeście mi powinszowali”. Kłaniając się wyszliśmy w śnieżycę. Już będąc na dworze nie wytrzymaliśmy ze śmiechu i tarzaliśmy się w śniegu, a także czyścili diabła z resztek świńskiego żarcia, które oblepiało jego ubiór. Biedny diabeł – brudny i mokry – leciał biegiem do domu, aby nie zamarznąć w drodze, a ja z Mikołajem wlekleśmy prawie pusty worek. Podzieliliśmy uczciwie przyniesione dary. Z radością po ciepłej kąpieli usiedliśmy do dobrze zapracowanej wigilijnej wieczerzy. Oczywiście dziecku nieraz można wiele zauważyć, a widoki te utrwalone w pamięci pozostają na wiele, wiele lat w pamięci.